



MARIAN MILSZTAJN ur. 1919; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Dzielnica żydowska na Podzamczu
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, Żydzi, dzielnica żydowska na Podzamczu, synagoga Maharszala, Aron ha-kodesz, Błotniki, dzieciństwo, Krawiecka 41, Fabryka Wyrobów tytoniowych Krasuckiego, Parowa Fabryka Wyrobów Tabaczných Z. Krasucki fabryka wag, łaźnia żydowska, Kowalska 6, kamasznik, szewc, szewcy

Dzielnica żydowska na Podzamczu

Wejście do wielkiej synagogi było od strony Szerokiej. Z przodu było miejsce na Szej Mot - miejsce gdzie chowano każdą zniszczoną stronę modlitownika, czy Starego Zakonu. Grzebano je z zachowaniem pogrzebowego rytuału, normalny przebieg, jak pogrzebanie. Z modlitwami. Przed synagogą był też taki stół wyłożony piaskiem, gdzie zagrzebywano napletki z obrzezania. Moje też tam było. Jak się urodził mój braciszek Herszele, to jak mu obrzeczali, to mi dali i mówili: teraz zanieś do bożnicy. Tam się to też grzebało. O tym dziewczuchy nie wiedziały.

Synagoga była wysokości kilka pięter. Na bokach były wejścia dla kobiet. Niby balkony dookoła. Lichtarze wisiały na łańcuchach do wysokości piętra, półtora piętra. Oświetlenia była masa. To były świece. To spuszczano i zapalano. Tu stał Aron Kodesz [wł. Aron ha-kodesz, miejsce przechowywania zwojów Tory], Ściana Wschodnia, tu siedział najświętszy rabin, tu bima, tu się czytało Torę. Ładna snycerska robota. Tu się mogło pomieścić około 2 tys. ludzi. Można było wykupić stałą ławkę. Szczególnie na Jom Kipur. W sobotę nie było masy, w święta więcej, ale szczególnie w Rosz Haszana i Jom Kipur do zawalenie się. Jak było ładnie, to Żydzi siedzieli na zewnątrz i wchodzili do środka. Żydzi nie znali hebrajskiego. Modlili się nie rozumiejąc, co to jest. Żyd umiał powtarzać to, ale nie rozumiał. Nawet pierwszych słów Testamentu. Rozumiał tylko ten, który uczył w jesziwie. Nawet my w chederze, jak rebi mówił "Breszit - na początku, Bara - stworzył". Ale kto to spamiętał. Modliłeś się, ale nie rozumiałeś wiele. Mówiłeś braha, ale nie rozumiałeś wiele. Pamiętałeś, że przed piciem wody mówisz to i to, przed jedzeniem chleba, to i to, przed jedzeniem owoców to i to, ale co to jest? - to po prostu „braha” [błogosławieństwo] na owoc. Znali to ci, którzy uczyli się hebrajskiego, ci którzy uczyli się świętego języka Waszonze Kodesz [starohebrajski].

Wiedziałem, że to kiedyś była fabryka gdzie mama pracowała [Krawiecka 41, Parowa Fabryka Wyrobów Tabaczných „Z. Krasucki”]. Nie pamiętam, żebym widział tam ludzi, nie pamiętam żebym widział tam dzieci. To był koniec lat dwudziestych. Bo też był taki okres, do pewnego wieku żeśmy się w ogóle nie ruszyli z tych Błotnik. Bo baliśmy się iść w jakiś tam obcy świat. Co wiemy – że stamtąd przechodzą ludzie przez nasze Błotniki i z Kalinowszczyzny, z Woli,

przechodzą w drugim kierunku. Kim są ci ludzie? Jako dziecko nie wiedziałem. Nie wiedziałem, że tam jeszcze mieszkają ludzie, ale przechodzili. Jak już mieliśmy po 7, 8 lat, to już wyruszyliśmy, już prowadziliśmy wojnę z dziećmi. Przebiegaliśmy. Myśmy nie chodzili, myśmy tylko biegali. Albo uciekaliśmy od innych dzieci, cośmy z nimi wojowali, z Krawieckiej, albo myśmy ich gonili. Nigdy samemu nie chodziło się. Nas była grupka. Nazwano nas: „Banda z Błotnik”. Jak pokazaliśmy się na Jatecznej i jakieś dziecko nas widziało: dwóch, trzech, czy czterech, czy pięciu, na przykład podeszliśmy do tej rzeczki, latem, żeby się niby wykąpać, głębokość była może 20 centymetrów, ale szliśmy się tam kąpać. To jak dziecko nas widziało z tej Jatecznej, to zaczął krzyczeć po podwórkach: „Banda z Błotnik zbliża się!” Było otwarte wejście na Krawiecką 41. Dla mnie to było jakby puste. Przechodziłem przez całe podwórko, całe podwórze, tak by wyjść na łąki. Jak żeśmy wyszli? Na pewno było otwarte. Na pewno było tam coś zniszczonego. Przechodziliśmy. Przebiegaliśmy. Nie tylko tamtędy. Przed fabryką było przejście – tam mieszkał mój wujek Icchak, brat matki i za fabryką było przejście – między fabryką, a łaźnią żydowską, też można było wyjść. Ale nieraz wypadało nam, że nas gnali w tamtym kierunku. Dam przykład: biegali dzieci z Krawieckiej i stąd i z stąd. Fabryka była tutaj, tu rozpoczynała się Krawiecka, Krawiecka kończyła się tutaj, na Siennej, albo Jateczna jeszcze. Jak tak biegali to myśmy musieli gdzieś znaleźć wyjście. To znaleźliśmy wyjście: brama jest otwarta. Czy była brama? Ja nawet nie pamiętam, czy było coś takiego. To było takie opuszczone. To był taki dom, z zamkniętym podwórkiem. Na pewno kiedyś część były magazyny na towar, na pewno była część – administracja. Fabryka to nie tylko jest hale fabryczne. Na podwórku był brud, śmiecie. Pamiętam, że było wszystko nawalone. Jakie brudy? Diabli wiedzą. Człowiek w ogóle się nie zastanawiał, czy warto coś oglądnać. Wszystko biegiem, wszystko biegiem. Przecież tam był – ja pamiętam – to był strach, bo okna były otwarte, oczodoły, zniszczone. Ja nie wiem, kiedy to urządzono na możliwość mieszkania. To co ja pamiętam, to tynk. Jak tynk zewnętrzny nie istniał, to na pewno tynk wewnętrzny też nie istniał. I na pewno Kiejla - kongregacja żydowska - to doprowadziła do jakiegoś stanu. Jestem pewny, że pierwszy okres, pierwsze lata, to było niezamieszkane. Wraz z pogorszeniem się sytuacji krajowej – ten ogromny kryzys w latach 1928-32, może w tym okresie ludzi wyrzucono z mieszkań. Ludzie szukali i znaleźli: stojący budynek, rozwalający się. Lepiej być na pewno tam aniżeli na ulicy. Gospodarza nie ma, nikt nie jest gospodarzem. Nie ma, żeby ktoś zażądał komorne. Ludzie weszli. Bo dużo takich zdań [budynek] nie było chyba jak ta fabryka. Było też opuszczone zdanie [budynek] – ale widocznie tam był gospodarz, to należało do kogoś. To była metalowa fabryka na Lubartowskiej, zdaje mi się, obecnie tam jest fabryka wag. Był taki budynek, budynek opuszczony, ale zamknięty. Nie wiem czy pilnowany. Był zamknięty. Naprzeciwko szpitala żydowskiego, po drugiej stronie Jesziwy, trochę bliżej, przed Jesziwą, ale prawie naprzeciwko szpitala żydowskiego. Nie wiem czy ten szpital jeszcze dzisiaj istnieje, ale chyba tak, jest tam szpital.

Dobrze pamiętam jak wyglądał budynek łaźni, bo co piątek chodziłem z ojcem do łaźni. Albo co dwa tygodnie chodziliśmy do łaźni. Jak trzeba było wyparzyć te koszule od wszów - do łaźni się chodziło, między innymi, po to, żeby wyniszczyć te wszy, z którymi zawsze chodziłeś. Ta łaźnia, to była duża hala, pośrodku piec z rozżarzonymi głazami, z ognia, takie głazy rozżarzone. Z jednej strony były schody, ławki takie o długości całej ściany, o długości 15 czy 20 metrów mniej więcej. Jedna ława, druga ława, trzy, cztery ławy, aż pod sam sufit. I nabrał wiadro zimnej wody i na te kamienie, a para ogromna w całej tej sali. Jako dziecko mogłem być tylko na pierwszej ławce, na pierwszej ławie, albo na pierwszym schodzie. Na czwartym rzadko kto mógł się położyć - tam było strasznie. Tam powieszono te koszule i tam te wszy zginęły. Po prostu rozłożyły się. To było też naznaczenie tej łaźni, jej funkcja. Oprócz mycia się i bicia się miotłą, wyparzyć się i być cały tydzień, mniej więcej, czysty.

Tam na Kowalskiej było wiele sklepów skórzanych, ale w tym sklepie pod szóstym był też chyba kolega ojca z wojska, razem służyli albo w polskim wojsku, bo ojciec w 1919 roku znowu został mobilizowany do wojska na wojnę z bolszewikami, albo w rosyjskim wojsku. Znalazłem na fotografii ten sklep na Kowalskiej, gdzie dwa razy do roku tatuś brał skóry. Przed Pesach pojechaliśmy z tatusiem dorożką i tatuś zakupił towar na tą całą produkcję. Miękką skórą, twardą skórą, skórą do wnętrza. Potem jechaliśmy do kamasznika, co tatuś zawsze z nim pracował. Zamówił tyle i tyle takich butów, tyle i tyle takich. Kamasznik był na Ruskiej, niedaleko nas. Naprzeciwko cerkwi. [Ruska 23] On był na podwórku. Nazwiska nie pamiętam, w pobliżu Rynku [obecnie Bazar]. Tu mieszkał wujek [Nadstawna 43] przy rzeczce i tam była taka suteryna i pierwsze piętro. Mały domek. Jak weszliśmy do wujka i podnieśliśmy deskę to woda była, czyli ten dom był po prostu na wodzie. Wuj Pinchas. Woda była głęboka dla dzieci do pępka, ale woda czysta była. Przeważnie chodziły tam baby po praniu kłaką [kijanką] wybijać bieliznę na kamieniu. Tam był taki ogromny głaz. Przechodził kiedyś tam malec i mówił do mamy: whajdale, whajdale, jaka szkoda, że mój tyłek nie jest w tych spodniach. Bo baba tłukła jakieś portki. Wracając wzięliśmy dorożkę, pojechaliśmy na Kowalską, potem do kamasznika. Tu wypito kieliszek, i tu wypito kieliszek. Pamiętam, że tata przeważnie dwa tysiące dwieście złotych płacił. To był wówczas majątek i dlatego go tak bardzo szanowali. Do 14 lat tak z ojcem jeździłem, a potem byłem zajęty innymi sprawami, policją...

Data i miejsce nagrania	2000-07-04, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"